

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno - literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Nowe oblicze Wiecznego Miasta

Corocznie, w dniu 21 kwietnia, w „Święto pracy” faszystowskich Włoch, oraz dnia 28 października — w rocznicę „Marszu na Rzym”, powtarza się w Rzymie uroczystość otwarcia jakiejś nowej arterii komunikacyjnej, lub rozpoczęcia jakichś, zakrojonych na wielką skalę robót, zmieniających stopniowo oblicze Wiecznego miasta.

Każda z tych uroczystości, to dalszy etap na drodze do zrealizowania planu regulacyjnego, zatwierdzonego w r. 1931, a przeprowadzanego systematycznie, olbrzymim nakładem pracy, pod kierownictwem gubernatora Rzymu, hr. Boncompagni Ludovisi.

Pierwszym, najważniejszym powodem rozpoczęcia tych robót był szybki wzrost stolicy. W roku 1870 liczył Rzym zaledwie 200 tysięcy mieszkańców; w roku 1885 ilość tychże wzrosła do 400 tysięcy, w roku 1920 do 900 tysięcy, a obecnie przekracza już milion. Niewystarczająca okazała się istniejąca sieć komunikacyjna, obejmująca około dziesięć milionów metrów kwadr. Należało ją rozszerzyć i powiększyć, stworzyć nowe, nowoczesne arterie ruchu wielkomiejskiego.

Na przeszkodzie stał jednak — Rzym starożytny, Rzym Cezarów, — izolowany niejako od współczesnego życia, stojący na uboczu, zagubiony niemal w labiryncie ulic i uliczek, zasłonięty starymi domami, w których przeważnie gnieździła się biedota.

Plan regulacyjny rozwiązuje te trudności w sposób naprawdę monumentalny: powstają — kosztem ogromnych ofiar i burzenia całych kompleksów starych budynków — nowe, szerokie, nowoczesne ulice, otaczające pierścieniem cały Rzym Cezarów, który w ten sposób dopiero staje się dostępnym nie tylko archeologom, ale i przeciętnym turystom. Wszystkie starożytne budowle, należące doświadczone i organicznie ze sobą powiązane, przywodzą przed oczy całą wielkość starożytnego Rzymu, wywołując stokrotnie spotęgowane wrażenie.

Za punkt wyjścia obrano historyczną Piazza Venezia. Od niej to biega dwie nowe, szerokie, wielkomiejskie ulice: Via dell'Impero i Via del Mare.

Idąc przez Via dell'Impero mijamy kolejno słynne fora rzymskie: Trajana, Augusta, Nerwy, Cezara, — dalej Forum Romanum, bazylikę Maksencjusza, by wreszcie dojść do Colosseum. Co za rozkosz i uczta duchowa dla archeologa!

Zbudowanie tej ulicy wymagało zburzenia kilkudziesięciu starych, historycznie nie interesujących domów czynszowych. Przy tej okazji odsłonięto tzw. „Torre dei Conti”, ciekawą budowlę pochodzącą z czasów papieża Innocencjego III.

Druga z nowo zbudowanych ulic,

Via del Mare, biegnie w pobliżu słynnej skały Tarpejskiej, teatru Marcelła, forum Boarium i starożytnych świątyń tzw. Fortuna Virilis i Westy. W pobliżu niej mieszczą się też: pochodzący z IV w. kościół S. Giorgio in Velabro oraz S. Maria in Cosmedin (w. VI).

Szeroka ta, nowoczesna zupełnie ulica wiedzie dalej, w stronę morza której dzięki tym robotom regulacyjnym „zblżyło się” do Wiecznego Miasta.

Trzecią wielką arterią ruchu jest Via del Circo Massimo, której uroczyste odsłonięcie nastąpiło dnia 28 października br. Biegnie ona wzdłuż północno - wschodnich zboczy Awentynu, łącząc go z Palatynem, a opadając następnie łagodnie ku wybrzeżu Tybru. Nazwę swą otrzymała od rzymskiego Circus Maximus, który za czasów Cezarów był jednym z najwspanialszych pomników starożytnego Rzymu. Naprawdę jednak przysłoby szukać i odtworzyć sobie choć w wyobraźni to słynne miejsce, na którym przed wiekami rozgrywały się wyścigi rzymskich kwadryg. Przez szereg lat teren

ten zajmowała gazownia; po jej przeniesieniu w inne miejsce pozostały tylko nędzne lepianki, stajnie i szopy, — co wszystko obecnie zrównano z ziemią. Trzeba będzie jednak jeszcze paru lat, zanim zostaną zupełnie odsłonięte kontury tej potężnej budowli.

Jak zaznaczyliśmy, wszystkie te prace zmierzają w pierwszej linii do dostosowania stolicy do wzmożonego wielkomiejskiego ruchu.

Miał jednak rząd włoski i inne jeszcze, idealne cele na oku. A więc odsłonięcie i udostępnienie wszystkich piękności starożytnego Rzymu, za którego spadkobiercę uważa Włochy dzisiejsze, — unaocznienie wielkości i potęgi Rzymu Cezarów, obudzenie ambicji i wielkich aspiracji w narodzie włoskim.

Dlatego umieszczono na Bazylice Maksencjusza, przy Via dell'Impero, cztery tablice z drogiego marmuru, na których wyryto mapy Imperjum rzymskiego, przedstawiające kolejno granice tego imperjum w początkach Republiki, po wojnach punickich, za panowania Augusta i za Trajana.

Dlatego odrestaurowano olbrzymim kosztem słynne mauzoleum Adriana (Castel Sant' Angelo). Dlatego wreszcie przystąpiono ostatnio do odbudowy Mauzoleum Augusta, mającego stać się symbolem sławy i potęgi Rzymu.

Wybitny historyk rzymski, Ettore Pais, mówi o nim w tych słowach:

„Mauzoleum Augusta przypomina nie tylko Włochom, lecz wszystkim narodom ów sławny okres, kiedy to Italia, mistrzyni w sztukach wojennych i pokojowych, dyktowała prawa i niósła cywilizację na świat cały”.

A u wejścia do Mauzoleum, na brązowych tablicach, wyryta ma być kopia słynnego testamentu Augusta, — testamentu, w którym wylicza wszystkie swe zwycięstwa:

„...Podbiłem prowincje Galji, Hiszpanji, Germanji, od Kadyksu do źródeł rzeki Elby... Podbiłem Alpy od morza Adriatyckiego do Tyreńskiego... flota moja pływa od źródeł Renu aż do terytorjum Cymbrów, dokąd dotychczas żaden Rzymianin nie dotarł ani drogą morską ani lądową”... (kr.)

Qualis Artifex!

Od osiemnastu lat dzień 15 listopada jest dniem ciężkiej żaloby nie tylko dla kultury polskiej, ale naprawdę dla całej literatury światowej. Ale zarazem jest to jedyny dzień w roku, który bez obawy, że będziemy posądzeni o wstecznicstwo kulturalno - artystyczne — o pałajizm, poświęcić możemy rozpamiętywaniu dzieła i sztuki tego wielkiego artysty, który nie tylko zasłużył się dobrze ojczyźnie, jako twórca — wychowawca narodu; nie tylko odegrał rolę pierwszorzędą w dziejach powieściopisarstwa światowego, na szczyty sztuki wynosząc umierający, zdawałoby się, wówczas rodzaj literacki — powieść historyczną, — ale też był pierwszym pisarzem polskim, zdobywającym literaturę polską nie tylko popularność i rozgłos światowy, ale jedno z czołowych miejsc w hierarchii arcydzieł literatury wszechświatowej.

Każdy łatwo zrozumie, o kogo chodzi... każdy będzie wiedział, że mowa tu o Henryku Sienkiewiczu.

Podchodząc do Sienkiewicza i jego wielkiego dzieła pod kątem widzenia ich znaczenia w dziejach ducha i kultury narodu polskiego czyli ich roli wychowawczo - narodowej, trudno byłoby coś nowego na ten temat powiedzieć w siedemnaście lat naszej Niepodległości, a w pięćdziesiątym pierwszym od dnia powstania największej, najbardziej, najświadomiej patriotyczno - polskiej powieści historycznej, jaką jest „Ogniem i mieczem”.

Omarowanie twórczości Sienkiewicza

z tego punktu widzenia należy do wychowawców narodu, do budowniczych państwa, — nie zaś do krytyków literackich i pisarzy. Ci ostatni natomiast mają możliwość i okazję i nigdy nieustający obowiązek nie tracić z oczu wielkość Sienkiewicza w przeszłości z jednej strony, a z drugiej — podziwiać i głosić tę wielkość... wielkość artysty — na tle dziejowego stanu literatury pięknej.

Kampania przeciw Sienkiewiczowi - artyście (nie wychowawcy społeczeństwa) prowadzona jest głównie pod hasłem awangardyzmu artystycznego, intelektualizmu, rewizjonizmu historii, jako tematu literackiego, — wreszcie pod hasłem „pogłębiania sztuki”. Dzisiejsze pokolenie pisarzy widzi w nim jedynie utalentowanego narratora, świetnego plastyka i stylistę, wartościowego niezmiernie na tle swojej epoki, ale robiącego dziś wrażenie bezkrwistości, a nawet — w porównaniu z pisarzami późniejszymi (np. Żeromski) i bezbarwności, i braku sugestywności.

Do powyższego dochodzą zarzuty niewspółmierności dzieła i ambicji i możliwości twórczych Sienkiewicza w stosunku do dzisiejszej epoki i jej wymagań; — pomniejsza się też nieznacznie, zdawałoby się, pozycję Sienkiewicza w historii kultury, a powieściopisarstwa w szczególności.

Z drugiej strony nawet pewne czynniki społeczno - kulturalne, przywiązanie do tradycji i do ideałów, głoszonych przez Sienkiewicza — wychowawcę narodu — coraz obojętniej, coraz chłodniej

odnoszą się do twórczości Sienkiewicza, jako wspaniałego arcydzieła sztuki. — Atmosfera dzieł wielkiego artysty staje się dla nich coraz to bardziej daleka, coraz to bardziej obca, — czczą go, jako świętość narodową, a nie odczuwają ogromnego czaru, wielkiego natchnienia sztuki, jakie wieje z kart jego dzieł.

To też z okazji osiemnastej rocznicy śmierci wielkiego pisarza nie będzie rzeczą zbyteczną czy nieaktualną wypowiedzenie tych wszystkich myśli, które uczyniły Sienkiewicza jedną z czołowych postaci powieściopisarstwa światowego, nie tylko polskiego, — ponadto zaś zwrócenie uwagi na to, czym jest Sienkiewicz w świetle dzisiejszości — dzisiejszości literackiej, artystycznej.

Znane są wszystkim ogromne zasługi Sienkiewicza - stylisty w historii naszej powieści, znane też wzbogacenie i ożywienie naszego języka literackiego nie przez tworzenie nowego słownictwa, ale przez zdynamizowanie i uszlachetnienie uartystycznienie szaty językowej powieściopisarstwa dawniejszego.

W dziejach światowej powieści historycznej Sienkiewicz to jeden z najważniejszych etapów: stworzona przez Waltera Scotta na początku XIX stulecia, w połowie wieku osiągnęła powieść historyczna szczyty sztuki i wartości beletrystycznej w dziełach trzech pisarzy: Flaubert w „Salammbo” stworzył najwspanialszy okaz powieści historycznej, opartej ściśle o najbardziej wysublimowaną estetykę realizmu; Tolstoj w „Wojnie i pokoju” stwarza typ powieści społeczno - narodowej, przeprowadzając

zarazem konsekwentnie materialistyczną historiozofię; zapomniany i lekceważony dziś Aleksander Dumaś — ojciec osiągnął na polu powieści historycznej ogromne sukcesy w dziedzinie dynamizmu beletrystycznego, dramatyzowania akcji i niesłychanej pomysłowości w zakresie fabuły.

Henryk Sienkiewicz, jako artysta-powieściopisarz historyczny — to jakby skrzyżowanie, zlanie się w jedno Flauberta, Tołstoja i Dumasa. Ustępując pierwszemu z nich w fakturze kompozycyjnej i w niektórych innych elementach czysto estetycznych; drugiemu — w głębi ujmowania zagadnień społeczno-narodowych i historiozoficznych; trzeciemu — w pomysłowości sytuacyjnej, — przewyższa każdego z nich z osobna Sienkiewicz tem, co każdemu z nich brakowało: jest żywszy od Flauberta, plastyczniejszy od Tołstoja, dostojniejszy, bardziej artystyczny od Dumasa.

W twórczości Sienkiewicza — w szczególności w „Quo vadis“ powieść historyczna osiągnęła szczyty artysty, po dziś dzień w całej literaturze światowej — nigdy i nigdzie nie przewyższone, w „Trylogii“ zaś, w szczególności w „Ogniem i mieczem“ dokonał Sienkiewicz odrodzenia w formie powieściowej — klasycznej, tradycyjnej, prawdziwej wielkiej epiki, — epiki heroicznej, stając się pod wielu względami znacznie bliższym Homerowi, niż twórca „Pana Tadeusza“, Tasso, Ariosto czy nawet autor „Niedoli Nibelungów“.

I jeżeli dziś zupełnie nieoczekiwanie widzimy odrodzenie wielkiej epiki w formie powieściowej w Z.S.S.R., — to jedynym miernikiem, którym możemy posługiwać się przy dodatniej, bądź ujemnej ocenie, epickiego oddechu i kunsztu A. Tołstoja, Szołochowa czy Awdiejki — jest i pozostanie na zawsze Sienkiewicz!

Nie będziemy już wspominali ani o zaletach narracji sienkiewiczowskiej, ani o jego opisach i pełnych dramatyzmu epizodach, ani nawet o wspaniałej galerii postaci zarówno męskich, jak żeńskich; — plastyk to nie mający sobie równych w całym powieściopisarstwie światowym. Rzeczy to naogół znane, to też, zamiast omawiać je i zachwycać się nimi poraż tysiączny, warto zwrócić uwagę na pewien moment, dotąd przez entuzjastów i obrońców Sienkiewicza omijany, a przez wrogów uważany za nieomal najłabszy do obronienia.

Oto coraz to powszechniejsze staje się mniemanie o powierzchowności Sienkiewicza w ujmowaniu spraw głębokich, spraw wielkich — powiedzielibyśmy, spraw czysto duchowych.

Zarzuca się Sienkiewiczowi, że będąc pisarzem zewnętrznie ortodoksyjnie, szlendarowo niemal chrześcijańskim, katolickim — nie potrafi, nie jest w stanie zgłębić naprawdę ducha chrześcijaństwa, — wogóle nie jest wrażliwy na oddziaływanie czynników, nie poddających się plastycznemu ujmowaniu. — Stąd, mimo triumfu rzekomo pozornego, odsunięcie świata chrześcijańskiego w „Quo vadis“ na plan dalszy, a uwypuklenie triumfu artystycznego i apoteoza świata pogańskiego-antycznego, reprezentowanego przede wszystkim przez Petroniusza. Triumf kreacji Petroniusza, bezsprzecznie najbardziej umiłowanej przez autora ze wszystkich stworzonych przezeń postaci, ma świadczyć o pogańskości duszy sienkiewiczowskiej.

Ci, którzy tak twierdzą, mają rację w granicach bardzo ciasnych — opierają się bowiem na nieporozumieniu, wynikiem z przeświadczenia o zamknięciu się całej duszy Sienkiewicza — artysty w ramach „Quo vadis“.

My zaś twierdzimy, że w konstrukcji psychicznej i artystycznej Sienkiewicza świat chrześcijański odniósł triumf nad pogańskim. — iNe szukajmy jednak triumfatora w „Quo vadis“, — nad Petroniuszem bowiem (w sensie sugestywności wyrazu artystycznego) nie zatrumfował Winicjusz, ani Chilo nawrócony

życia za wiarę dający, ani nawet Piotr Apostoł. Przeciwwstawieniem Petroniusza i triumfem nad reprezentowanym przezeń światem antycznym, triumfem nad humanitarnym estetą, spokojnie zabijającym człowieka, bo mu działa na nerwy i powonienie („Cuchnie, Mir-millionie!“), jest świat ducha chrześcija-

skiego, reprezentowany w „Krzyżaku“ przez Juranda — przez nawpół barbarzyńskiego rycerza kresowego — okrutnika, osiłka, człowieka pierwotnego — przebaczonego w imię chrześcijańskiej miłości bliźniego — temu, kto najstraszliwiej go skrzywdził.

456465

T. P.

Poznański bizantynolog

(Działalność naukowa prof. J. Sajdaka)

W IV tomie Literatury Powszechnej (wydanej przez firmę Trzaski, Everta, Michalskiego) ukazał się zarys literatury bizantyńskiej z pod pióra Jana Sajdaka, b. profesora Uniwersytetu Poznańskiego. Wprawdzie w dawniejszych literaturach powszechnych Lewestama, Święcickiego, Chmielowskiego czy Grabowskiego znajdowały się rozdziały o literaturze bizantyńskiej, ale były to komplikacje. Ten nowy zarys opracowany jest przez uczonego, który przestudjował teologów i poetów bizantyńskich, a inne działy opracował na podstawie nowszych podręczników. To też każdy, szukający informacji o jakiegokolwiek ważniejszej postaci z literatury bizantyńskiej, znajdzie je w tym pierwszym polskim Zarysie Sajdaka, podane według obecnego stanu wiedzy. Podręcznik ten znalazł przychylne przyjęcie w prasie.

Autor pochodzi z Małopolski zach. Urodzony 26. II. 1882 w Burzynie (pow. Tarnów), ukończył gimnazjum w Tarnowie w r. 1904. Do r. 1908 kształcił się na Uniwersytecie Jagiellońskim w filologii i archeologii klasycznej, pod kierunkiem profesorów: Morawskiego, Sternbacha, Miodońskiego, Rozwadowskiego i Biełkowskiego. Studja zakończył doktoratem i egzaminem nauczycielskim z filologii klasycznej z wiosną 1909.

Już w r. 1908/9 rozpoczął pracę w zawodzie nauczycielskim, zrazu jako praktykant, potem zastępca nauczyciela w Krakowie, następnie jako rzecznik nauczyciel w Wadowicach. Ale już w jesieni 1909 za urlopem wyjechał jako stypendysta Polskiej Akademii Umiejętności z prof. Sternbachem do Włoch, gdzie w bibliotekach zbierał materiały do wydania scholiastów i komentatorów pism Grzegorza z Nazjanzu. Były to prace przygotowawcze z polecenia „Komitetu Wydawniczego Pism Greckich Ojców Kościoła IV wieku“, utworzonego przez Polską Akademię Umiejętności. Korzystając z dalszego urlopu aż do r. 1912, poświęca się pracy naukowej w bibliotece w Wiedniu, Bazylei, Paryżu, Londynie, Oksfordzie, Monachium i w Italii.

Owoce tych badań ogłaszał w rozprawach i przyczynkach w organie Twa Filolog. „Eos“ (od r. 1909 począwszy i w „Wiener Studien“ (w tomie XXVIII 1912, poświęconym Gomperzowi). Na nich oparł także swoją pracę habilitacyjną „De codicibus Graecis in Monte Casino“ (Rozprawy Polskiej Akad. Um. 1912). Habilitował się z filologii klasycznej w Uniwersytecie Jag. i jako docent prywatny rozpoczął wykłady z r. szk. 1912/13, ucząc równocześnie w gimnazjum św. Jacka w Krakowie, w którym zatwierdzono go w zawodzie nauczyc. z tytułem profesora. Z r. szk. 1916/17 otrzymał powołanie do Lwowa na Uniwersytet J. K., gdzie w zastępstwie prof. Kruczkiewicza wy-

kladał filologię łacińską i prowadził seminarium. Profesorem nadzwyczajnym został w listopadzie 1917 r.

Gdy Polska zjednoczona odzyskała byt niepodległy, Sajdak przyjął powołanie na profesora zwyczajnego filologii klasycznej w Uniwersytecie Poznańskim. Na tej placówce okazał się doskonałym organizatorem. Rozumiejąc dobrze, że znaczenie kulturalne i naukowe stolicy Wielkopolski jest niezmierznie ważne ze względu na bliskie sąsiedztwo Niemiec, które otaczają wielką troską swoje wszechnice, istniejące niedaleko granicy francuskiej, Sajdak stworzył, przy pomocy profesorów: Ganszyńca, Hammera i Klingera (który w lipcu 1920 przybył z Kijowa na kresy zachodnie) wzorowo zorganizowane Seminarium Filologii Klasycznej, zakupiwszy dla niego w listopadzie 1919 blisko 6.000 bibliotekę po 2 profesorach, z Lipska i Wiednia. Pieniądze na to otrzymał od Naczelnej Rady Ludowej w Wielkopolsce i Ministerstwa Czwiaty. Przewieziony do Polski ten dorobek pracy kulturalnej kilku pokoleń i powiększony następnie, wraz z broszurami, do liczby 60.000 numerów, stał się warsztatem pracy naukowej dla adeptów filologii klasycznej, po zaopatrzeniu w katalog imienny i rzeczowy.

Gorliwe zabiegi Sajdaka doprowadziły także do powstania w Poznaniu Polskiego Twa Filologicznego. On zagaił organizacyjne zebranie 11. 10. 1919 r. Na jego wniosek przewodnictwo powierzono założycielowi PTF, prof. dr. L. Cwiklińskiemu, który wówczas właśnie powrócił w swoje strony rodzinne. A gdy z końcem r. 1932 Cwikliński wskutek dłuższej choroby ustąpił z prezesury, Sajdak objął przewodnictwo Koła, w którego pracach od początku bierze czynny udział.

W r. 1929, podczas Powszechnej Wystawy Krajowej, pomagał prezesowi w zorganizowaniu I Zjazdu Klasycznych Filologów Ziem Słowiańskich i brał w nim czynny udział jako prelegent.

Redagował także, wraz z prof. Sinką, czasopismo filologiczne „Eos“ w latach 1918—1920 (rocznik XXIII—XXIV). Zasiada w Zarządzie Głównym PTF. i w Komitecie Redakcyjnym wspomnianego organu, który stale zasila rozprawami z filologii klasycznej. Złożył też dar wdzięczności prof. K. Morawskiemu rozprawą o Lucyljuszu w Księdze Pamiątkowej (Charisteria), ofiarowanej przez przyjaciół jubilatowi w 70-lecie życia. Do szerszej publiczności zwraca się często w feljetonach, notatkach i recenzjach w prasie poznańskiej jak dawniej w latach 1916—18 czynił to w czasopiśmie lwowskich. W wydawnictwie Polska w kulturze europejskiej, opracował dział: Filologia klasyczna w Polsce (t. II. Kraków 1918). Wziął również udział w zbiorowym wydawnic-

twie, którem dzięki staraniom L. Cwiklińskiego filologowie poznańscy uczcili pierwszą rocznicę założenia Uniwersytetu w Poznaniu (Symbolae Philologum Poznanensium, 1920-). W fachowych czasopiśmie filologicznych ogłasza oceny nowych wydawnictw.

Nadto redaguje Pisma Ojców Kościoła w polskim tłumaczeniu. Zbiór ten liczy już obecnie prawie 30 tomów (Minucjusz i Tertuljan w przekładzie Sajdaka) z obszernymi wstępami i objaśnieniami. Takiego wydawnictwa nie posiada żaden naród słowiański. Szerszym warstwowi udostępnia ono skarby myśli, zawarte w dziełach Ojców Kościoła i ma wielkie znaczenie kulturalne.

W związku z omówionym na początku „Zarysem literatury bizantyńskiej“ należy wspomnieć inne jego, wcześniejsze prace z dziedziny bizantynistyki, na którą, za przykładem swego mistrza L. Sternbacha, wkroczył już w pierwszych latach swej pracy naukowej nad wydaniem scholiastów Pisma Grzegorza z Nazjanzu. Rezultatem ówczesnych badań nad rękopisami była: Historia critica scholiastarum et commentatorum Gregorii Nazianzeni. Pars I (nakładem PAU., Kraków 1914). Znaczenie jego, jako bizantynologa, ugruntowało mu wydawnictwo „Analecta Byzantina“ (Two Naukowe Poznańskie) t. I, zawierający opracowane przez niego wydanie hymnów Jana Geometresa (Poznań 1931). Praca ta znalazła uznanie wybitnych fachowców z zagranicy. Dalsze tomy w przygotowaniu.

Sajdak jest, obok Sternbacha, jedynym przedstawicielem bizantynistyki w Polsce. W tym charakterze występował z referatami na zjazdach bizantynologów w Bukareszcie, Beogradzie i w Atenach. W Beogradzie otrzymał order Sawy III klasy za zasługi naukowe na tem polu. Gdyby stosunki naukowe pozwoliły Ministerstwu WR. i OP. utworzyć katedrę bizantynistyki na wzór istniejących oddawna na zagranicznych uniwersytetach (wyprzedziła nas w tem nawet Czechosłowacja), prof. Sajdak byłby jedynym kandydatem do jej objęcia, mogąc należycie reprezentować wobec zagranicy polskie badania w dziedzinie bizantynistyki. Byłoby to zarazem rekompensatą za utraconą w Poznaniu katedrę filologii klasycznej, która padła ofiarą zarządzeń, zastosowanych w jesieni 1933 r. Ale mimo utraty tej podniety do pracy, jaką jest dla uczonego katedra uniwersytecka, prof. Sajdak nie ustaje w działalności naukowej i wydawniczej. Dotąd złożył niemałe dowody wielkich zdolności w tej dziedzinie w ciągu 25 lat pracy naukowej i wychowawczej. Oby ona nadal obfitowała w bujne plony dla dobra kultury polskiej.

espe.

Na zburzonym krakowskim ratuszu

W Dzienniku praw Rzeczypospolitej Krakowskiej z 1817 roku Nr. 648 znajdujemy następującą uchwałę, którą podajemy dosłownie:

„My, zgromadzenie prawodawcze Wolnego Miasta Krakowa i jego okręgu: — Zważywszy, iż w liczbie domów narodowych i gmachów publicznych znajdują się niektóre zupełnie spustoszone, których podźwignienie znacznego wymagało kosztu, a nie mogąc być użyte na zamiary rządowe, wydatkowi temu odpowiadające, — muszą być zburzone a place sprzedane, — stanowimy, co następuje:

Ponieważ część gmachu, starym ratuszem zwanego, oddawna na spichrze obrócona, ponieważ w stanie opustoszałym znajduje się: Te więc spichrze mają być zburzone kosztem skarbu i materiał użyty na fabrykę skarbową; na miejscu zaś wspomnianych dopiero opustoszałych murów inna, jaka budowa, dochód skarbowi przynosząca i miasto upiększająca ma być wystawiona, ku czemu plany i projekta użycia potrzebnych funduszy Senat przyszedł Reprezentacji przedstawi. Wieża jednak ratusza, miejsce dla głównej warty czyli Hauptwachu i Korpus starego ratusza od strony wieży ma pozostać w całości.

Uchwalono jednomyślnie na Zgromadzeniu prawodawczym, w Krakowie dnia 1 marca 1817 roku“.

Uchwałę powyższą powzięto mimo tego, że przed tym ratuszem przysięgał Kościuszko na rynku krakowskim, a Staszic, zwiedzając Kraków w 1777 r., upominał w swym pamiętniku: „Wszystko, co pozostało po prawych monarchach wielkiego narodu, powinno być święte nietykalne, stać się nieśmiertelnym, jak ich pamięć. Tymczasem Polacy, szaleńcami nowości porwani, sami poburzyli stojące jeszcze mury bramy i wały.“

Widocznie myśl burzenia starego Krakowa kiełkowała długo w umysłach władców tego miasta. Austriacy, zajmując Kraków w 1796 r., zamierzali przebudować ratusz na biura urzędów i budowniczy Schmaus von Levonegg sporządził nawet plany tej przeróbki. Z planów tych, zachowanych do dnia dzisiejszego, można obecnie jako tako odtworzyć obraz starego ratusza. Prof. Brodowski przekazał nam widok izby pańskiej ratusza i kilka szczegółów architektonicznych budynku, który swego czasu urządzano z przepychem.

Pierwszy ratusz w Krakowie wybudowano z drzewa, spłonął on jednak w 1306 roku w czasie wielkiego pożaru, który zniszczył wielką część miasta. Następny ratusz zbudowano już z kamienia i cegły z wieżą, w której umieszczono kaplicę. Architektura tej budowli wzoruje się na zegarowej wieży katedralnej na Wawelu. Zegar dla wieży ratuszowej zamówiono wówczas w Norymberdze, a dzwony sporządził Jan puszkarz krakowski. Jeden z tych dzwonów wybijał godziny, drugi kwadransy a małe dzwony wygrywały melodje. Zegar ten wykonany wielce sztucznie, posiadał polichromowane figurki, dwunastu apostołów, które ukazywały się w czasie bicia godzin i kwadransów i wygrywania melodji podobnie, jakto widzimy na wieży ratuszowej w Pradze czeskiej.

W 1680 roku piorun uderzył w tę wieżę, wywołał pożar i zniszczył zegar doszczętnie. Król Jan III Sobieski powierzył odbudowę wieży swemu budowniczemu Piotrowi Beberowi ze Śląska, a nowy zegar sprowadził również Ślązak Paweł Mieczak z Gliwic. Po upływie 100 lat, w 1787 roku król Stanisław August odnawia ratusz przy materialnej pomocy biskupa krakowskiego Kajetana, Ignacego Sołtysa, który na ten cel ofiarował ze swych funduszy 50.000 złp. W tym czasie urząd prezydenta miasta sprawował Wohlman Vipre a jego najbliż-

szymi współpracownikami byli radni Klose i Kraus.

Zdawało się, że w przeciągu 30 lat ratusz krakowski nie powinien był ulec takiej ruinie, by uchwała 1817 roku musiała skazać na zagładę, którą Krakowi nie przyjęli do wiadomości z zupełną obojętnością. Przyczyna tej bierności polskiego mieszczaństwa krakowskiego leżeć musiała głęboko w ludzkiej duszy. Nikt się temu nie będzie dziwił, jeśli weźmie pod uwagę dawne stosunki krakowskie, które niestety, dzisiejsze polskie pokolenie dobrze zrozumie. Na ratuszu krakowskim prawie bez przerwy panowali długo obcy przybysze a z nimi obce prawa, zwyczaje, obyczaje, buta i rozwiąłość germańska, którą niestety władza królewska tolerowała.

W podziemiach krakowskiego ratusza, w których mieścili się piwiarnie i więzienia, działały się wielce niesamowite rzeczy. Nie bez powodu polskie mieszczaństwo stołeczne udaje się w 1512 roku gromadnie na Wawel do Króla Zygmunta I. i przedkłada mu skargę na magistrat krakowski. W prośbie swej Krakowianie proszą króla, by nakazał znieść więzienie ratuszowe zwane „dłużnicą“, gdzie zamykano i męczono barbarzyńsko ubogich dłużników. Król dekretem z dnia 18 października 1521 r. nakazuje wybudować nową dłużnicę, więzienie odnowić i złagodzić, ale go nie znosi. Posłuszna jednak rada krakowska buduje dopiero w 1547 roku nowe więzienie zwane „carcer civilis“, vulgo „kabyty“, przypierając je do muru wieży w miejscu, które łączyło ją z gmachem ratusza od strony zachodniej.

Frycz Modrzewski pisze wiele o krakowskim ratuszu, jego piwnicach i piwiarni zwanej „świdnicką“, którą ulokowano tuż obok więzień i miejsca tortur. Modrzewski żali się na władców miasta, charakteryzuje ich bardzo surowo i tak się dosłownie wyraża:

„Ludzie próżnujący cały dzień i przeleż, piją, a żywią się z nierządnicami bardzo rozpustnie. Dzieweczki i niewiasty uczciwe pod zasłoną tańca albo jakiej innej gry do siebie proszą, a w ten czas ich stateczność pilnie starają. A gdzie więcej swarów, guzów, ran, ochromienia, zabijania przytrafia się jako w karczmie.“

A działało się to tuż obok więzień, urządzonych dokładnie według wzorów niemieckich. Więźniów trzymano tam w dybach z otworami na ręce i nogi i ofiara władców miasta leżała skępowana dniami i nocami. Piwnice więzienne nie posiadały ani drzwi ani okien i skazańców spuszczano w dół na linie i w ten sam sposób dostarczano im lichego pożywienia i wody. Nie jeden więzień stracił tam rozum i życie.

Jak dalece polskie społeczeństwo było bezsilne wobec tego barbarzyństwa dowodzi fakt, że biskup krakowski Marcin Szyszkowski zakłada w 1607 roku bractwo Męki Pańskiej przy kościele OO. Franciszkanów w Krakowie, którego członkowie opiekowali się więźniami ratusza i zanosili w ich imieniu prośby.

Groicki opisuje wymownymi słowy niedole tych więźniów i tortury, którym ich poddawano. Opisy te podajemy dosłownie:

„Tam ubożego człowieka ciało szarpia, targają, ciągną, pieką i męczą. Więc z okrucieństwa katowskiego leją w gardło wodę, ocet, wrzący olej, smarują ciało siarką, gorącą smolą, kładą na pępek myszy pod kloszem, szerszenie lub jakie inne robaki, albo nogi obleją wodą słoną, potem kożę przywiodą, która rada sól jada, aby pięty lizała. Niektórym włosy brzytwą ogolą dla opatrzenia, aby jakich kunsztownych pomocy we włosach nie miał według czarnoksiężstwa dla czarów innych, za którymi żadnej męki nie czują.

Narzędzia tej męki, wyrzucone ze zbu-

rzanego ratusza, kupił Matejko i można je oglądać w muzeum tego domu przy ulicy Florjańskiej.

Mistrzem takiej sprawiedliwości był kat, którego akta miejskie nazywają „noster bonus“, czemu nie należy się dziwić, gdyż w starożytnej Germani urząd kata sprawowali tylko kapłani pogańscy, a później ławnicy miast niemieckich.

Niedziw też, że polski Kraków nie oburzał się na uchwałę reprezentantów miasta z 1817 roku i przyjął ją obojętnie. Wówczas żyła jeszcze w pamięci ludzkiej rola Niemców, władców ratuszowych, którzy z takim rozgłosem i tupetem obwieszają raz po raz światu, jak to oni spełniali swą rolę „kulturträgerów“ w Polsce. Dziwić się jednak należy, że tak wiele mówi się i pisze o inkwizycji hiszpańskiej, a pozwala się na tak staranne i dotychczas skuteczne przemilczanie czynów barbarzyńskich w miastach, w których Niemcy dzierżyli władzę tak w średniowieczu, jak w czasach już nowożytnych.

I dobrzeby było, gdyby ratusz krakowski ocalał i w podziemiach jego pokazywano liczny turystom dowody germańskiej kultury i cywilizacji.

Polacy bowiem zapomnieli o tem, poprawki historyczne i fałsze dopięty celu w czasach zaborecznych i doszło nawet do gloryfikacji czynów niemieckich w Polsce. Polski zarząd Krakowa zniszczył na żądanie austriackiej administracji ratusz, pamiątki tych czynów, wszelkie dowody barbarzyństwa i nienawiści, przeniosł biura magistratu najpierw do domu Nr. 17 przy ulicy Kanoniczej, a potem kupił od chirurga Kowalskiego pałac Wielopolskich przy placu Wszystkich Świętych, gdzie urzęduje do dnia dzisiejszego.

Historja zaś ratusza krakowskiego jest groźnym memento dla narodu polskiego, który tak łatwo i bezkarnie oddaje władzę w swym kraju ludziom obcym.

Dr. J. S.

Czy jesteśmy muzykalni?

Niejednokrotnie już na ten temat wypowiadały się pewne jednostki, interesujące się rozwojem kultury muzycznej wśród naszego społeczeństwa. Niektórzy autorowie artykułów, pytanie to omawiających, odpowiedzieli na nie twierdząco, opierając swe twierdzenie na tem, że wielki rozwój muzyki lekkiej, jazzbandowej, duże zapotrzebowanie kompozycji tego działu twórczości, ogólny popyt na te utwory, powszechność ich itd. — dowodzą dużej muzykalności społeczeństwa, do czego też wielce przyczyniają się: udoskonalona technicznie muzyka mechaniczna i rozwój radjofonji.

To — że nastąpił w nas zanik kultu dla muzyki symfonicznej i operowej, to bynajmniej — wedle zdania niektórych — nie dowodził braku muzykalności, a jest tylko jakby skutkiem zmiany upodobania i umiłowania ze strony społeczeństwa.

Twierdzenie takie oparte jest jednak na zupełnie fałszywych przesłankach, byłoby zaś dopiero wówczas niepozbawionem słuszności, gdybyśmy wszelkie zagadnienia muzyczne omawiali jedynie tylko pod kątem widzenia przyjemnej rozrywki. Muzyka jednak niepowinna i nie może być uważana jedynie za rozrywkę, za to miłe, rozpraszające przygnębiające myśli zjawisko słuchowe, przy którym można swobodnie rozmawiać, jeść i pić, flirtować, dzwonić talerzami i szklankami i tańczyć (mniej lub więcej estetycznie) — takie bowiem „nastawienie się“ do

muzyki — przeczy jej posłannictwu jako sztuki i wiedzy.

Muzyka bowiem jest jedną z tych sztuk pięknych, których celem jest wzniesienie ducha na najwyższe wyżyny, jest bowiem konieczna dla duszy strawą duchową, podobnie jak poezja. Nikt zaś do poezji nie zaliczy frywolnych, nierzadko ordynarnych wierszydel z pism humorystycznych lub gorszych. Muzyka powinna być taką potrzebą ducha — jaką dla inteligentnego człowieka jest dobra książka. Dlatego też rozpanoszenie się lekkiej wyuzdanej muzyki jazzowej da się porównać z rozpanoszoną dziś niesmaczną i bezwartościową lekturą pełną niezdrówych sensacji czy to z dziedziny kryminalogji czy też erotyki.

Muzyka — obok swego posłannictwa sztuki — stanowi ogrom wiedzy, która z każdym okresem czasu wzrasta i daje kompozytorom możność coraz oryginalniejszej twórczości, wymagając temsamem od słuchaczy pewnego zaznajomienia się z jej tajnikami, względnie przygotowania się do odbioru wrażeń i odczucia piękna, w danym dziele zawartego. I ten stan znów porównać można ze stanem naszego czytelnictwa. Wszak piękna dzieła Żeromskiego lub największych perli naszej poezji nie zrozumie i nie odczuje przeciętna dusza „zjadacza chleba“ a temniej dusza analfabety i podobnie — jak takim przeciętnym jednostkom wystarcza dla duszy — jako rozrywka — Kronika policyjna brukowego pisma, tak dla duszy całego sze-

regu ludzi niewykształconych muzycznie — wystarcza lekka, niewybredna muzyka jazzbandowa w formie jękkiego tanga lub innego, niewybrednego płodu z dziedziny tej twórczości. Dlatego okna księgarni pełne są tych „nowości“, podobnie jak i dzieł z zakresu niewybrednego piśmiennictwa. Jaką zaś wartość posiadają te utwory, o tem mówi już sama ich „sezonowość“, bo jak nagle się pojawiają, tak nagle przechodzą w niepamięć. Słynna ongiś „Tittina“, czy „Tomasz skąd ty to masz“ i inne, do znudzenia śpiewane i słyszane foxy, tanga itp. minęły bezpowrotnie przeszły po krótkim żywocie w zapomnienie, a miejsca ich zajęły nowe, na to samo kopyto urabione melodje taneczne. — Jakże inaczej jest z muzyką poważną! Najstarsze dzieła sztuki muzycznej, dzieła Bacha, Beethovena, Brahmsa. Szopery i innych — nie tracą nigdy swej świeżości, zdołają zawsze zaciekać, zaw sze wznoszą duszę do najwyższych sfer duchowych.

Utwory obecnej muzyki tanecznej są bowiem mniej lub więcej płytkimi melodjami, opartymi na pewnym stałym schemacie z podłożonym czasem wcale umiejętnym i dowcipnym akompaniamentem, co w zasadzie nie wymaga ani tej umiejętności ani tej mroźniejszej pracowitości ani wreszcie tych zdolności, — które posiadać musi kompozytor dzieł symfonicznych, lub innych z dziedziny poważnej twórczości muzycznej. Stąd ta przystępność tych utworów tanecznych dla ogółu, stąd ta

niezmierna łatwość przyswajania sobie ich melodyj, jeśli się w dodatku uwzględni fakt, że niktyle tu chodzi o samą melodię — ile o niewybredny tekst i o rytm taneczny, gorliwie wykorzystany na dancinгах.

Muzyka poważna, operująca motywami i tematami, pojawiającymi się w różnych kształtach, w różnych głosach i instrumentach, posiadająca też odrębne formy i pewne sposoby wypowiadania się kompozytora, nie może oddziaływać na umysł przeciętny, muzycznie niewykształcony, znuży go szybko i nastroi do drzemki. Dopiero tych, którzy są na tyle umuzykalnieni, że taka sztuka może oddziaływać na ich duszę, każdy utwór zaciekawi i spowoduje, że wsłuchując się w jego brzmienie doznają tej radości i tych uczuć, które dusze ich unoszą w zaświaty, albo też śledzą rozwijające się różnorodnie tematy i delektują się strukturą odtwarzanego dzieła.

Ponieważ zaś tych ostatnich i tak do muzyki nastawionych jest coraz mniej — można śmiało twierdzić, że muzykalność nasza podupadła. Stanu tego rozwój muzyki tanecznej nigdy nie poprawi, choćby z tego względu, że nie ma ku temu żadnych warunków, bo za jedyną jej zaletę możnaby uważać chyba tylko ową różnorodność rytmiczną. Skoro jednak ta różnorodność rytmiczna, zaczerpnięta z muzyki murzyńskiej — nie uczyniła samych murzynów muzykalniejszymi niż inne dzikie ludy, więc nie można się pod tym względem spodziewać dodatniego wpływu na umuzykalnienie naszego społeczeństwa, — a zwłaszcza naszej młodzieży. To też jak długo radio i muzyka mechaniczna propagować będą nadmiar utworów jazzbandowych, stan muzykalności się nie poprawi, bo propagowanie tej muzyki skłania jej odbiorców do poruszania się po drodze najmniejszego oporu, bo akceptuje nie-

jako stan bezmyślnego wsłuchiwania się i podziwiania utworów pozbawionych głębszej wartości.

A szkoda! Szkoda, bo całe nasze społeczeństwo we wszystkich warstwach posiada wrodzone umiłowanie muzyki i należy je tylko umuzykalniać nie drogą podawania mu oszłamniającego trunku w postaci muzyki jazzowej ale drogą rzetelnej strawy duchowej w postaci muzyki poważnej, kształcącej stopniowo, aby przepaść, która dziś dzieli słuchacza od kompozytora, została z czasem zasypana i zrównana.

Jest to z jednej strony zadaniem naszego szkolnictwa — a z drugiej strony Polskiego Radia.

WIKTOR HAUSMAN

prof. konserw. P. T. M.

Indyjskie anegdotki o złotnikach

Wśród rzemieślników o złej sławie jedno z pierwszych miejsc, zdaniem (m. in.) Hindusów należy zarezerwować złotnikom. W indyjskiej literaturze powieściowej złotnik jest typowym złodziejem. O złej jego sławie świadczy też wymownie chętnie złośliwe zmienianie jego nazwy *swarnakara* „robiący ze złota” na *swarnataskara* „złodziej złota” (syllaba docet syllaba nocet). Według Hindusów każdemu człowiekowi można zawierzyć, tylko nie złotnikowi.

„Możesz zaufać mnie — mówi w jednej z opowieści tygrys do człowieka, — chociaż czasem urządzam sobie ucztę z ludźmi; węzowi, choć jego ukaszenie ścina twą krew w jednej chwili, szczeniowi, choć wyrządza tysiączne szkody w twym domu, — lecz nigdy nie ufaj złotnikowi”. Pewne przysłowie indyjskie powiada, że nawet ze złota, które mu powierzy własna matka, by sporządził zeń ozdoby, nie omieszką złotnik zwędzić pewnej części. Przysłowie południowo-indyjskie mówi: „Kto choćby otrze się o złotnika, ten już zrujnowany”.

Znają go nieszczęśliwie i na północy Indyi, jak o tem świadczy przysłowie kaszmirskie, twierdzące śmiało: „Jeżeliby złotnik nie skradł złota dostałby go raczki trawiającej”. Złotnik wreszcie należy do ósemki, tworzącej godną kompanię, a złożonej m. in. ze złodzieja, gracza, kurtyzany.

Po krótkim wstępie zapowiedziane w tytule anegdoty.

Przebiegłość złotników Trustrują następujące historyjki:

Pewien król każe złotnikowi sporządzić koronę ze szczerzego złota. By zabezpieczyć się przed oszustwem, każe mu tę pracę wykonać na pokładzie okrętu pod okiem ministrów. Złotnik musi poddawać się rewizji zarówno rano gdy przychodzi, jak wieczór, gdy odchodzi. Wszystkiego, co potrzebne, dostarczają mu ministrowie. Złotnik żąda codziennie pewnej ilości lodyg jednej rośliny dla mieszanina topionego złota. Lodygi absorbują nieco złota, które twardnieje i przechowuje się we wkłeszczeniach. Złotnik lodygi po użyciu wrzuca do wody i fale wyrzucają je na brzeg — tak, że w drodze do domu co wieczór sprytny złodziej bez trudu zbiera złoto, które posładi.

Inny król, który też pragnął mieć koronę ze szczerzego złota, kazał zło-

nikowi pracę wykonać w pałacu pod dozorem urzędników. Złotnik, zajęty przez dzień w pałacu, w nocy u siebie w domu robi drugą koronę, taką samą, tylko ze znaczną domieszką metalu nieszlachetnego. Gdy już obie korony są gotowe, mówi królowi, że oddanie korony powinno nastąpić nad stawem w parku królewskim i być połączone z pewnymi ceremoniami. W nocy ukrywa fałszywą koronę w stawie. Podczas rzekomej ceremonii zanurza się w wodzie z prawdziwą koroną i wypływa, trzymając ją wysoko ponad głową. Tak robi trzy razy (w myśl przysłowia o sztuce), lecz za trzeci razem zamienia koronę pod wodą. Król, zadowolony z pięknej i eleganckiej roboty, nie podejrzewając niczego, każe go jeszcze sownie wynagrodzić.

Trzeci król był już mądrzejszy (nie doświadczeniem dwu poprzednich, tylko wogóle). Kazał sporządzić stonę z ogromnej ilości złota. Złotnik użył załdwie ćwierci owego złota na to, a środek wypełnił ołowiem. Król jednak poznał się na oszustwie i rozkazał umieścić oszusta za kraty na lożu na stłupie wysokości bezmała 300 m. (za tem niewiele mniej, niż liczy sobie wieża Eiffla). Lecz złotnik nie traci rezonu. Skręca pętlę ze swych włosów, przewleka przez nią nić, wyciąga przy pomocy tego aparatu mocny sznur, który przyniosła mu jego żona, i — ulatnia się. Król w uznaniu jego sprytu tym razem mianuje go przełożonym cechu złotników.

Jeszcze jeden król pada ofiarą przebiegłości złotniczej. Na rozkaz tego czwartego króla robi złotnik naszyjnik z klejnotów — pod jego dostojnym okiem. W domu sporządza całkiem podobny ze szkła i miedzi. Podczas pracy we dnie na dachu pałacu (dachy pałaców indyjskich bywały i bywały płaskie — tak, że służyły za terasy) rzuca co pewien czas kawałek mięsa na dach; porywają je i pożerają sępy. Gdy już oba naszyjniki są gotowe, złotnik wrzuca podrobiony do garnka z wodą i zabiera to z sobą do pałacu. Na oczach króla smaruje naszyjnik prawdziwy czerwoną kredą, wrzuca go do owego garnka, wyjmując fałszywy i kładzie go na tem miejscu, na które przedtem rzucał mięso sępom i tym razem sęp — zwiędziony barwą — nie zawiodł. Złotnik błąd nad swym losem, błąd głową o dach, lecz król pociesza go i odsyła do domu z hojną zapłatą za

robotę — i z prawdziwym naszyjnikiem, ukrytym w garnku.

Ofiarą przebiegłości złotników padają naturalnie nie tylko królowie (jest ich za mało na tym świecie). I tak pewna naiwna właścicielka naszyjnika z kryształów górskich, wśród których znajduje się bezcenny klejnot, daje się przekonać złotnikowi, że ten naszyjnik jest bez wartości. Złotnik w dowód sentymentu dla niej wymienia jej tę ozdobę na naszyjnik srebrny.

Brak serca dla własnej matki ilustruje taka opowieść:

Pewna kobieta chce pamiątkę rodzinną, złotą żabę, dać przerobić na modne ozdoby. Bojąc się powierzyć ów klejnot złotnikowi, których zna ze złej sławy nazbyt dobrze, wpada na myśl oddania swego syna na naukę do złotnika. Gdy już wyuczył się swego rzemiosła, matka prosi go o przerobienie owej żaby na klejnoty. Synalek postarał się o żywą żabę, ukrywa ją w popiele ogniska i na oczach matki wkłada złotą żabę do popiołu, poczem zaczyna rozdmuchiwać ogień, by ją stopić. Żywa żaba, czując się niezbyt dobrze wśród gorąca (jako przyzwyczajona do innego klimatu), wyskakuje i ucieka.

„Popatrz, droga matko — mówi synalek. — twoja żaba poszła sobie. Jak możesz oczekiwać odemnie, bym ci zrobił ozdoby z żywej żaby?”

„Oh, Kochany synu — odpowiada matka, — czy jest coś gorszego od niepowodzenia? Moja bryła złota przemieniła się w kawałek mięsa”.

Inna historyjka opowiada o złotniku, który sporządzał naramienniki z czystego srebra dla swej matki, lecz w nocy nie mógł zmusić oka i nie zasnął spokojnie, aż przetopił ten naramiennik, dodając sporo metalu nieszlachetnego; dopiero wtedy spokojnie zasnął — ze spokojnym sumieniem.

Niewdzięczność złotnika uzmystawia następującą opowieść:

Pewien bramin opuszcza swój kraj, by spróbować szczęścia na obczyźnie. Erzechodząc przez suche okoliczności, nęskany pragnieniem, napotyka studnię. Chcąc nabrać wody, spuszcza dzban do studni, lecz nachyliwszy się, spostrzega, że to wyschła studnia i że znajdują się w niej — zamiast spodziewanej wody — tygrys, małpa, wąż i — złotnik. Wyciąga z pułapki zwierzęta, lecz gdy chce wyratować i złotnika, zwierzęta

przeszrzegają go i odradzają. Mimoto ratuje także złotnika.

I zwierzęta i złotnik przyrzekają mu odwdziżyć się za tę przysługę, gdy zajdzie potrzeba. Bramin zdobywa majątek na obczyźnie, lecz w drodze powrotnej obrabowuje go zbójca. Wtedy wzywa na pomoc małpę i ta służy mu owocami leśnymi. Przyzwany tygrys zabija dla niego księcia i obdarowuje go klejnotami zabitego. Bramin idzie teraz do złotnika i prosi go, by sprzedał jeden z tych klejnotów. Złotnik dostrzega na bransolecie nazwisko księcia, idzie do króla, jego ojca i zdradza bramina. Gdy już mają wbić biednego bramina na pal, przywołuje skazaniec myślą węża — i ten spieszy mu z pomocą, rzucając się na królową. Wzywają zaklinaczy. Wąż oświadcza im, że uratuje życie ukaszonej królowej, jeżeli bramin odzyska wolność. Król wzywa bramina, dowiaduje się o jego historii — i teraz skrupia się na niewdzięcznym złotniku.

Ażeby nie pozostawiać czytelnika w stanie przygnębionym (o ile sam przyradkiem nie jest uczciwym złotnikiem), opowiem jeszcze na zakończenie historyjkę, wykazującą, że i złotnicza kosa może trafić na kamień.

Pewien cieśla żył w wielkiej przyjaźni ze złotnikiem. Raz postanowili obrabować świątynię. Ukradli kilka złotych posążków i zakopali je pod drzewem. Następnej nocy złotnik poszedł, wykopał posążki i zabrał je do domu. Rano mówi do cieśli: „O zdrajco, oszuste, złodzieju, nie wytrwałeś w przyjaźni, bo ukradłeś te posążki!”

Cieśla nie przeczy oskarżeniu, wlicząc, że szkoda słów. Sporządza z drzewa figurę, podobną zupełnie do złotnika, ubiera ją w szaty takie, jakie nosi złotnik i przyucza dwa niedźwiadki, specjalnie kupione, do ledzenia z rekwizytów i poły figury. Potem zaprasza złotnika wraz z jego rodziną na ucztę, ukrywa dwoje dzieci złotnika i wypuszcza owe dwa niedźwiadki, twierdząc, że dzieci zamieniły się w niedźwiadki.

Złotnik udaje się ze skargą do sędziego. Cieśla, wezwany przed sędzięgo, zapewnia, że dzieci podczas zabawy upadły na ziemię i zamieniły się w niedźwiadki.

„Słyszałem, panie sędzio, — mówi cieśla, — że raz całe towarzystwo zemsta boga zmieniła w zwierzęta, lecz rozum im pozostał, podobnie jak uczucia miłości i przywiązania. Trzeba zaraz posłać po niedźwiadki i postawić je przed złotnikiem. Jeżeli to jego dzieci, będą się odnosić do niego jak do ojca. W przeciwnym razie zaś niech pan sędzia zrobi ze ma, co tylko uważa”.

Wszystko odbyło się tak, jak przewidział cieśla. Złotnik, który przejrzał podstęp cieśli, oddał mu należną część łupu i otrzymał zpowrotem dzieci.

Opowiedział
Eugeniusz Śluszkiewicz

„Choroba bornholmska”

Nowa ta zupełnie, a niebadana dotąd bliżej choroba zakaźna grasuje specjalnie na duńskiej wyspie Bornholm, odwieczanej często również przez polskich turystów.

Choroba ta objawia się silnym podniesieniem temperatury oraz gwałtownymi bólami mięśni brzusznych.

Od sierpnia 1930 do kwietnia 1934 zanotowano w Danii blisko jedenaście tysięcy wypadków tej choroby. Ognisko jej znajduje się na wyspie Bornholm, — stąd jej nazwa.

Genjalny opiumista

(Samuel Taylor Coleridge, 1772 - 1834)

W roku bieżącym upłynęło sto lat od zgonu Coleridge'a. O ile dzielimy epokę romantyzmu w literaturze angielskiej na trzy okresy, należy on do największych trzech postaci drugiego pokolenia. O ile zaś dwudziestolecie, poprzedzające ukazanie się w roku 1798 „Ballad lirycznych” Wordswortha i Coleridge'a, odrzucimy jako dobę przejściową, preromantyczną, to naszemu poecie przypadnie rola pioniera nowego, potężnego prądu literackiego. W każdym razie należy on do protagonistów tego prądu.

Dziwne są żywoty angielskich romantyków! Nie byli oni, jak wiktoriańscy, solidnymi ojcami rodzin. Poeci byli w twórczości, zrównoważonymi w życiu. Romantycy miewali najdalsze fantazje i pragnęli je urzeczywistnić, niekiedy urzeczywistniali. Wpatrzyli w zaświaty, nie umieli chodź po ziemi i potykali się często, budząc zgrozienie w zjadaczach chleba. Popadali w nałogi, urządzali skandale, przymierali głodem.

Wzrosli w atmosferze rewolucji francuskiej i przeważnie w dążeniu do angielskiej, która nie miała przyjąć nigdy. Rzucali rękawice utartym pojęciom i popadali w zatargi z nastrojami narodu, toczącego wojnę na śmierć i życie z Francją. Naogół zresztą miłali u nich z latami młodzieńcza choro-
ba.

Wśród tego wszystkiego tworzyli — żywiołowo, bez kompromisów z gustem publiczności i bez myśli o doradnym powodzeniu, pod wpływem siły wyższej, wstrząsającej całą ich istotą. Był to prawdziwy święty szal wieszczów. Gdy wyczerpywało się natchnienie, odwracali się czasem od poezji.

U Coleridge'a okres natchnienia trwał tylko 15 miesięcy — od grudnia 1796 do lutego 1798 roku. Schodzi się on z początkiem stałego użycia opium, jakgdyby narkotyk w pierwszej fazie spotęgował siły twórcze, zanim je w dalszym zmniejszał i unicestwiał. W niewatpliwym związku z tem pozostaje charakter wizji sennych, cechujący poezję Coleridge'a. Prawie wszystkie jego utwory są fragmentami. Gdy zabrakło natchnienia, nie mógł on zdobyć się na powrót do tego, co rozpoczął pod jego wpływem.

NIEFORTUNNY KAWALERZYSTA

Samuel był trzynastym z rzędu dzieckiem duchownego z Ottery w hrabstwie Devon. Zbierając od starszego rodzeństwa razy i docinki, zamknął się w sobie i dojrzał przedwcześnie, ale nie pod względem praktycznym. W szkołach interesował się filozofią i teologią. Lubił samotność, ale gdy znalazł się w gronie kolegów, zadziwiał ich wymową, rzadko dopuszczając kogoś innego do słowa. W Cambridge zajął się kwestiami politycznymi i miewał nieprzyjemności z powodu jawnego głoszenia jakobinickich poglądów. Zatopiony w życiu umysłowym, popadł wnet w kłopoty pieniężne. Liczył na wygraną na loterii, której los posiadał — i pojechał do Londynu w dzień ciągnięcia. Gdy nadzieja zawiodła, postanowił zrobić coś rozpaczliwego — i wstąpił pod przybranym nazwiskiem do kawalerji.

Dyscyplina wojskowa, czyszczenie koni, nauka jazdy były dla młodego poety i filozofa prawdziwym piekłem. Pewnego dnia wypisał na ścianie łaciński cytat z Boecjusza, powszechniej znany w formie, jaką nadał mu Dante — o wspomnianiu szczęśliwych chwil w niedoli. Ściągnął tem na siebie uwagę oficera i przy interwencji jego oraz starszego brata, będącego kapitanem, znalazł się wnet z powrotem w Cambridge.

PANTISOKRACJA

Wkrótce potem poznał się na pierwszej wycieczce z młodszym o dwa lata Robertem Southey, również poetą

i również zwolennikiem idei rewolucyjnych. Zaprzyjaźnili się i wnet poczęli snuć plany założenia idealnej gminy na wolnej ziemi Ameryki, nad brzegami Susquehamy. Miało ono być komunistyczne i pantisokratyczne tj. oparte na zasadach absolutnej równości, a składać się z 12 mężczyzn i 12 kobiet. Spodziewano się, że wobec bogactwa przyrody wystarczy dziennie trzy godziny pracy, a resztę czasu będzie można poświęcić życiu rodzinnemu, dyskusjom i pracy literackiej. Młoda Ameryka potrzebuje przecież ludzi, którzyby ożywili ruch umysłowy i potrafi ich wynagrodzić... Liczono więc na bliżej nieokreśloną pomoc na miejscu, ale werbując ochotników, żądano wkładów, aby stworzyć kapitał zakładowy 2 tysięcy funtów.

O złote sny młodości! Jakże inaczej przedstawia się w chwili porzucenia, niż w zetknięciu z bezlitosną rzeczywistością! Coleridge spodziewał się spłacić swój udział dochodami z utworów, których nikt nie chciał drukować. I sztuki o Robespierre, napisana do spółki z Southey'em oraz z innym pantisokratą, Lovellem, nie udało się spieniężyć. Southey liczył również na honoraria autorskie, ale i na bogatą ciotkę. Roztoczył przed nią cały plan, skutek jednak był zgoła nieoczekiwany. Ciotunia wyrzuciła biedaka za drzwi, zapowiadając, że nie będzie otwierała jego listów, i Southey musiał cztery godziny w ulewny deszcz iść pieszo do domu. To go bardzo ochłodziło w zapale.

Były i konflikty zasadnicze. Southey miał zamiar zabrać ze sobą służącego. Pewnego razu zaczął mówić, jakby to dobrze było poświęcić cały czas pracy umysłowej. Możeby tak tylko służący pracował w polu... Jak to, chcesz wprowadzić niewolnictwo? — zawołał ze zgrozą Coleridge. Napisał on w tym czasie wiersz do ośiolka którego widywał na przechadzkach. Pantisokracja obejmowała i zwierzęta, więc nazywa „na złość głupcom” kłapoucha bratem i marzy o zabraniu go „do doliny pokoju i słodkiej równości”.

MAŁŻEŃSTWO

Nie można powiedzieć, aby plany pantisokratyczne pozostały całkiem bez wpływu na życie poety. Zawdzięczał im — o ile w tym wypadku wyraz „zawdzięczać” ma rację bytu — małżeństwo. Przecież powszechna równość obejmowała także równą ilość mężczyzn i kobiet. Nad Susquehamą nie będzie przecież panien na wydaniu. Trzeba się śpieszyć... Podobnie ruski kleryk żeni się na gwałt, nim się wyświeści.

Trzech pantisokratów zaręczyło się tedy z trzema siostrami Fricker, ładnymi sierotami bez żadnych dóbr materialnych, które, jak wiadomo, należy pogardzać. Coleridge kochał się równocześnie — zresztą dość spokojnie, bo do potężnego, namiętnego uczucia nie był zdolny — w kim innym. Miał też co do swej Sary wątpliwości. Czy kobiety potrafią dostosować się do wysokiego poziomu etycznego pantisokratów? Naprawdę szło o poziom intelektualny... Lecz Southey perswadował mu, że popemniłby czyn niehonorowy, nie dotrzymując Sary słowa. Biedny Coleridge upewnił się tedy, że jego Maria wychodzi naprawdę za kogoś innego — i stanął na ślubnym kobercu z Sarą, którą miał za kilka lat porzucić. Na razie jednak, zarobiwszy trochę pieniędzy odczytami i kazaniem po zborach unitariańskich, założył z nią „pantisokrację w miniaturze” w uroczym Cleveden w hrabstwie Somerset.

Sielanka skończyła się po trzech miesiącach z braku środków do życia. Coleridge zaczął więc wydawać w Bristolu radykalne pismo periodyczne, ale w dziesiątym i ostatnim numerze zawołał melancholijnie: „Strażniku, strażowałaś napróżno!” Wszelkie plany rozpoczęcia praktycznego zawodu okazały się nierealnymi, ostatecznie

poeta znalazł przyjaciela, który mu dopomagał i osiedlił się w skromnym domku w Stowey.

PIERWSZE UTWORY I EWOLUCJA PRZEKONAŃ

Wczesna poezja Coleridge'a jest naogół nierówna, często też naśladownicza. Rozbrzmiewa to panteizmem, to entuzjazmem rewolucyjnym, wiodącym do potępienia własnej ojczyzny. W napisanej w ostatnich dniach r. 1796 (a więc już w okresie dojrzałości poetyckiej) „Odzie do odchodzącego roku”, mamy wylczenie zbrodni Anglii i wyrok zagłady na nią. Bardziej interesuje nas wizja, przedstawiająca tańczące około grobu Katarzyny II niezliczone duchy ofiar jej wojen — wśród nich i poległych na błoniach Warszawy.

Lecz zapal rewolucyjny stygl. Coleridge miał się z czasem stać konserwatystą i prawowiernym anglikaninem. Dowodem zmiany poglądów jest powstałe w rok później „Odwołanie”, znane lepiej pod tytułem „Francja”. Zupełnie podobnie Lessing pisał ode „Mój błąd”. Coleridge boleje, że utworzona przez rewolucję republika stała się na równi ze swymi wrogami, na jeżdżając Szwajcarię. Stracił nadzieję, aby wśród ludzi mogła zapanować wolność. Jej miejsce jest jedynie w przyrodzie i w duszy człowieka, który z nią się żyje.

Te przyrodę opiewa Coleridge w „Harfie eolskiej”, w „Lutim, kaukaskiej pieśni miłosnej”, w „Altanie lipcowej”, w „Mrozie o północy” itd. Jego odczucie piękna widomego świata pogłębia się z latami, często odzywają się akcenty panteistyczne. Jedno i drugie spotęgowała przyjaźń z Wordsworthem i jego siostrą Dorotą, z której Dziennika łatwo wyczytać tajemnicę jej serca: Kochała Coleridge'a, on jednak ceniąc jej inteligencję i ulegając jej wpływom, nie odgadł nigdy, co dzieje się w sercu Doroty.

„BALLADY LIRYCZNE”

Wordsworth mieszkał z siostrą w Alfoxdem, sąsiedztwie Stowey. Przyjaźń obu poetów i częste dyskusje zrodziły plan „Ballad lirycznych”, obliczonych z pełną świadomością na wywołanie przewrotu w poezji. We wstępie Wordsworth wystąpił z potępieniem stylu XVIII w. i ze swem demokratycznym credo. Pragnął on wydobywać efekty z wypadków i postaci codziennych, szczególnie wiejskiego życia, używać języka klas niższych i głębiej od Coleridge'a odczuwać naturę. Ten usiłował pod wpływem nowego przyjaciela napisać pełną prostoty balladę ludową, lecz wynik nie był zbyt szczęśliwy. Miał lotniejszą wyobraźnię, a pociągaly go tematy egzotyczne i średniowieczne. Ostatecznie ułożyli się, że w „Balladach lirycznych” każdy z nich będzie trzymał się swego zakresu twórczości.

„HYMN O STARYM MARYNARZU”

Główną ozdobą przełomowego zbioru był „Hymn o starym marynarzu” Coleridge'a. Pomysł powstał podczas rozmowy obu przyjaciół i pierwotnie mieli pisać razem, ale okazało się to niewykonalnym, gdyż Wordsworth chciał moralizować, Coleridge'a ponosiła fantazja i przed oczyma snuły mu się wizje.

Miały to być dzieje straszliwej pokuty, opowiadane przez bohatera zatrzymanemu na ulicy gościowi weselnemu. Myśl, aby przewinieniem marynarza uczynić zabicie albatrosa, ptaka dobrej wróżby, pochodzi od Wordswortha. Zaczyna się pokuta — cisza morską, męki głodu i pragnienia pod tropikalnym niebem. Załogę statku, która czynu nie potępiła, spotyka lżejsza kara, śmierć; samego winowajcę okropna „życie w śmierci”. Tak rozstrzygnięta gra w kości między symbolicznymi widmami. Ostatecznie przybywa on do brzegów ojczystych na okręcie, obsługiwanym przez trupy, aby

pokajać się przed pustelnikiem i otrzymać odpuszczenie grzechu. Okropne męki przemieniły jego duszę, nauczył się kochać wszelkie żywe stworzenia i, ujrawszy cudnie mieniące się barwami węże wodne, błogosławił im bezwiednie.

Obrazy poematu pochodzą z znacznej części ze snów Coleridge'a, i mają dziwny charakter — równocześnie czegoś odległego od rzeczywistości i bardziej od niej rzeczywistego. Czytelnik czuje się, jak ów gość weselny, wbrew własnej woli opanowany przez jakąś siłę wyższą i niezdolny oderwać się od utworu. Pozbawiony chwilowo zdolności rozumowania, podąża z zapartym tchem za wizjami poety. Stąd niewarto wdawać się w dyskusję nad niewspółmiernością między winą a karą, niewarto też szukać w poemacie alegorii własnego życia Coleridge'a. Refleksja i zarzuty przychodzą dopiero ex post, czar utworu czyni je niemożliwymi, póki się z nim bezpośrednio obcuje.

Czar ten potęguje wydatnie forma, powstała na tle starej ballady ludowej, nie liczącej zgłosek, lecz tylko akcenty (jak poezja anglosaska). Zwrotki odpowiadają sobie tylko ogólnym zarysem, mają nierówną ilość wierszy i różny porządek rymów (także wewnętrznych) i to wszystko jest owocem żywiołowego tworzenia pod wpływem marzeń sennych.

Należy dodać, że „Rym o starym marynarzu”, tłumaczony już przez Syrokomlę, posiadamy w świetnym przekładzie Kasprowicza, w niczem nie ustępujący oryginałowi.

„KRYSTABEL”

Jeszcze bardziej zbliżył się Coleridge do starej rodzimej metryki w „Krystabeli”, gdzie cztery jednozgłoskowe wyrazy odpowiadają czasem kilkunastozgłoskowemu wierszowi o czterech akcentach. Ta archaiczna forma jest w idealnej harmonii z całym tłem poematu. Coleridge stworzył tu atmosferę średniowieczną z mistrzostwem, do którego z angielskich romantyków wzniósł się prócz niego jedynie Keats. Wszystko jest fantastyczne i tajemnicze.

Do zamku Sir Leoline'a wkrada się podstępnie Geraldyna pozornie cudnie piękna, lecz będąca w istocie przewrotną czarownicą, także fizycznie ohydą. Chce unieszczyć niewinną córkę rycerza Krystabelę. Ta ma chwilę instynktownego lęku, później nabiera pewności, że grozi jej niebezpieczeństwo, ale dzięki czarom nie jest zdolna o tem mówić. Ostatecznie prosi ojca o jak najszybsze oddalenie Geraldyny nie umie jednak tego uzasadnić. dochodzi tedy do konfliktu między ojcem a córką. Lecz nad Krystabelą czuwa duch matki, zmarłej przy jej urodzeniu. Akcję stanowi więc walka między złem a dobrem, któremu poeta przeznaczał zwycięstwo.

Jak w „Starym marynarzu”, dużo w tym fragmencie przepięknych opisów przyrody — wyraźnie zgadzających się z zapiskami Doroty Wordsworth.

„KUBLA KHAN”

Trzeci z najsławniejszych utworów Coleridge'a liczy tylko 54 wierszy. Poeta po użyciu opium zasnął nad elżbietańskim zbiorem podróży, doszedłszy do opisu wspaniałego pałacu i „grodu Kubla Khana w Xanadu. We śnie miał wedle własnych słów „żywą pewność, że układa wiersze, w ilości 200—300, jeżeli układaniem wierszy nazywać można stan, w którym obrazy stawały przed nim, jak rzeczy, wytworzone równocześnie odpowiednio wyrażenia bez żadnego uczucia czy świadomości wysiłku. Po przebudzeniu zdawało mu się, że wyraźnie przypomina sobie całość”. Stąd do pisania, lecz przerwał mu ktoś, przybawiający w interesie. Ukończywszy godziną rozmowę, przekonał się że pozostało mu tylko zmętniałe wspomnienie wizji „dośm do dziesięciu luźnych wierszy oraz obrazów”. Jest tedy ten fragment pasmem wzrokowych i słuchowych asocjacji o charakterze szczególnie wyrazistego sennego marzenia, przybranych w cudze słowo poetyckie. Treści epickiej brak, a wizja nie ograni-

cza się do owej rezydencji Kubla Khana, gdyż pojawia się wspomnienie innego snu i żywe poczucie zachwycenia, jakie ten przyniósł poecie.

PRELEGENT

W roku 1798 wyjechał Coleridge z Wordsworthem do Niemiec, gdzie oddał się studjom filozoficznym, które silnie wpłynęły na kierunek jego dalszej działalności literackiej. Przestudował Kanta, później metafizyków z początku XIX w. i popularyzował w Anglii ich filozofię, oddziałając też na Carlyle'a, który miał reprezentować wpływy niemieckie w okresie wiktoriańskim.

Okres poetycki Coleridge'a był właściwie skończony. Poza paru utworami, wytrzymującym porównanie z dorobkiem lat 1796-8 („Przygnębienie”, „Młodość i starość”) trzeba wymienić przekład „Wallensteina”, swobodny i pełen rozmachu, mający się mniej więcej tak do oryginału, jak „Księżę Niezłomny” Słowackiego do tekstu Calderona.

Mieszkał później poeta w sławnym kraju jezior (w hrabstwie Cumberland) i w Londynie. Pogniewał się z Wordsworthem i rozszedł z żoną. Przez jakiś czas utrzymywał się z zasilku od braci Wedgwood, fabrykantów słynnej porcelany. To znów za protekcją Byrona wystawiono jego dramat (zresztą napisany w roku 1797). Dawał też odczyty. Był mówcą z Bożej łaski. Wiemy od dra Gillmana, u którego spędził ostatnich 18 lat życia, że pewnego razu, zaproszony do Londyńskiego Towarzystwa Filozoficznego, dopiero na miejscu spytał o czym ma mówić. „O indywidualnym rozwoju umysłu”, odpowiedziano. — „Suchy temat mi wybrali”, rzekł Coleridge, poczem mówił przez półtorej godziny i porwał audytorjum.

Zresztą prawie nie krepował się zapowiedzianą treścią wykładów. Jak twierdzi Czabb Robinson, mając mówić o „Romeu i Julii”, zaczął od obrony kar cielesnych w szkole, potem skrytykował surowo tzw. lankasterski system wychowania (w owym czasie rzeczywiście przestarzały), zestawiał charakter Elżbiety, Jakóba I i Karola I, starał się ustalić różnice między dowcipem a fantazją, zrobił wycieczkę jezykoznawczą, zaatakował utarte pojęcia o wysłowieniu poetyckim, a skończył obroną Szekspira przed zarzutem lubowania się w brudzie. Jest tu napewno nieco przesady, ale i zachowanie notatek z cykliów prelekcji Coleridge'a wykazuje podobną niesystematyczność. Publiczność jednak ulegała urokowi jego wymowy, a podobno się lepiej, to, co improwizował, niż to, co czytał z notatek.

DZIEŁA PROZAICZNE

Z dzieł tego okresu najważniejsza jest *Biographia Literaria* (1817), zbiór wspomnień osobistych, uwag krytycznych o współczesnych i wywodów ogólnych na różne tematy. Spotykamy tu np. świetną ocenę Wordswortha — o wiele sprawiedliwszą, niż uwagi tegoż o „Starym marynarzu”. Łuźne uwagi Coleridge'a i notatki jego zebrano pośmiertnie w paru wydawnictwach, z których najwyższą wartość ma tom, zawierający krytykę szekspirowską.

STAROŚĆ I KONIEC ŻYCIA.

Nałóg, którego źródłem było użycie opium dla złagodzenia cierpień reumatycznych, nie dał się nigdy wykorzystać. Bywały czasy, że Coleridge konsumował dziennie kwartę truciźny, osłabiającej wolę (nie inteligencję), podkopującej zdrowie i rujnującej go finansowo. To znów ograniczał się do skromnych dawek. Dr. Gillman podjął się odzwyczaić go zupełnie od opium, ale musiał dać za wygraną. W każdym razie od chwili zamieszkania w domu lekarza Coleridge nie wrócił już do dawnych potwornych porcji. Umarł na suchoty. Syn, Hartley Coleridge, odziedziczył po Samuelem zdolności poetyckie i wszedł do literatury, lecz był również nałogowcem. Pijaństwo zepsuło mu świetnie rozpoczętą karierę uniwersytecką i wogóle zaciążyło nad jego życiem.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

Terapia niespecyficzna i proteinoterapia

Odporność naturalna, — wrodzona i nabyta na pewną infekcję, — odporność sztuczna, — aktywna — po szczepieniu, — pasywna — po wprowadzeniu surowicy, — są odpornościami specyficznymi tj. tylko przeciw pewnym infekcjom wywołanym przez jeden rodzaj zarazki. Odpowiednio do tego i leczenie specyficzne jest skierowane przeciw jednemu wzbudzielowi — przyczynie danej infekcji. Objekt na który chcemy zadziałać jest tu znany. Pojęcie to o odporności specyficznej zostało dokładnie opracowane przez bakteriologów takich jak Koch, Bering, Ehrlich.

W nowszych czasach spotykamy się z nowym pojęciem — z pojęciem odporności niespecyficznej, — odporności nie skierowanej jedynie tylko przeciw pewnej infekcji, — lecz szerszej, ogólniejszej! Wprawdzie starsi lekarze już dawniej przypuszczali istnienie takiego zjawiska, ale opierali się oni przy tym tylko na spostrzeżeniach klinicznych, nie zaś na podstawach doświadczalnych. Dzisiejsze ściślejsze wiadomości o tem zjawisku zbierano stopniowo, w toku badań nad odpornością specyficzną.

Stwierdzono, że przy uodpornianiu organizmu dwoma lub kilkoma rodzajami bakterij powstaje odpowiednio do tego odporność na kilka infekcji. Są zaś przypadki, gdy przy uodpornianiu jednym rodzajem zarazki organizm wyrabia również odporność i na inny rodzaj. Mianowicie w 1914 roku Kraus, pracując nad sporządzeniem szczepionki ochronnej przeciw tyfusowi brzusznemu, zauważył następujące zjawisko: wstrzykując chorym na tyfus brzuszny szczepionkę z zarazki tyfusu lub z pałeczki okrężnicy, — spostrzegł jednokową reakcję organizmu a także i wyniki lecznicze po obu szczepionkach były identyczne, pomimo, że szczepionki te były sporządzone z odmiennych bakterij.

Kraus już wtedy przypuszczał, że rolę leczniczą gra tutaj nie rodzaj bakterij, lecz białko bakteryjne, a więc nie specyficzny wpływ odpowiedniej szczepionki, lecz wpływ białek w danym wypadku bakteryjnego czynnika nie specyficznego, nie swostego.

Za tym poglądem przemawiają dawniejsze spostrzeżenia: że po przebyciu pewnych chorób infekcyjnych organizm nie zapada na niektóre inne czyli wyrabia obok odporności specyficznej na tę infekcję także odporność szerszą — odporność na inne infekcje; że surowica przygotowana przeciw danej infekcji działa też dobrze przeciw niektórym innym i że czasem można otrzymać po surowicy zwykłej podobnie dobre wyniki, jak i po surowicy specyficznej.

W wielkiej ilości doświadczeń starano się uchwycić istotę tego zjawiska — odporności niespecyficznej, poznać mechanizm jej powstawania, następnie stworzyć terapię opartą na poznanych prawach. Doświadczenia te wykryły szereg ciekawych faktów.

Wielu badaczy wykryło, że po zastrzykach rozmaitych ciał nawet i nie białkowego charakteru, — stwierdza się u zwierząt, które poprzednio uodporniono jakimkolwiek zarazkiem, znaczne zwiększenie się przeciwciał w

surowicy i to wtedy, gdy ich przedtem prawie, że wcale nie było.

Odporność niespecyficzną powstaje pod wpływem wprowadzania do ustroju ciał zwanych bodźcami niespecyficznymi. Są to ciała, które wprowadza się do ustroju drogą pozajelitową, w zastrzykach, — a które, w odróżnieniu od ciał specyficznych, nie są skierowane na jakiś pewny określony obiekt np. na pewien rodzaj zarazki, lecz działają na cały organizm, nie zaś tylko na pewne jego tkanki, czy organy, pobudzając go do aktywniejszej obrony przeciw wszelkim obiektom szkodliwym; — stąd nazwa: bodźce niespecyficzne i leczenie niespecyficzne, bodźcowe.

Według Weichardta, jednego z twórców nauki o odporności niespecyficznej, — odporność ta polega na podwyższeniu naturalnej czy sztucznej odporności specyficznej co następuje pod wpływem niespecyficznych bodźców. Bodźce te aktywują naturalną zdolność reagowania komórek organizmu, pobudzając je do energicznej obrony, tak, że mało lub całkiem nie aktywna protoplazma, która straciła możność obrony organizmu przed infekcją, ponownie zyskuje te właściwości.

Po zastrzykach białka mamy następujące zmiany w organizmie we krwi: z początku spostrzega się leukopenję, — zmniejszenie się ciałek białych, która w krótkości przechodzi w hiperleukocytozę, będącą przypuszczalnie jednym z czynników sprzyjających zdrowieniu organizmu. Limfopenja, — zmniejszenie się ilości limfocytów, następuje później od leukopenji, tak samo następową limfocytozę zjawia się później od leukocytozy.

Pod wpływem białka zdolność krzepnięcia krwi wzrasta, ilość fermentów we krwi ulega zwiększeniu.

Po zastrzykach białka następuje podwyższenie temperatury wskutek podrażnienia ośrodka regulacji ciepła. Nasilenie tej gorączki i jej wpływ na organizm zależy od wielu czynników. Szczególnie chorzy na gruźlicę, kiłę, lekembję, anemję złośliwą, są bardzo czuli i reagują intensywnie podwyższeniem temperatury na zastrzyki białka. Dalej stwierdza się obniżenie wrażliwości na trucizny pod wpływem zastrzyków białka. Np. króliki, gdy im wstrzyknie się mleko, wykazują znacznie większą odporność na działanie rozmaitych trucizn np. strychniny. Zastrzyki białka zwiększają sekrecję mleka, żółci, zwiększają wydalanie moczu. Ogólny stan chorego po krótkim stażu pogorszenia ulega znacznemu polepszeniu, — zjawia się dobre samopoczucie, lepszy sen, bóle maleją lub znikają całkiem, trawienie, czynność mięśni poprawia się...

Terapia niespecyficzna polega na wprowadzaniu drogą pozajelitową do ustroju środków wywołujących odporność niespecyficzną — stan zwiększonej aktywności obronnej organizmu względem czynników chorobotwórczych. Terapia ta rozporządza następującymi środkami: 1) Niektóre związki chemiczne: sole metali, metale koloidalne, barwiki; 2) Terapia infekcyjna; 3) Proteinoterapia — leczenie zastrzykami białka; 4) Niektóre zabiegi, których farmakologiczne działanie na organizm nie jest dokładnie znane, obecnie są uważane za środki niespecyficzne, np.

bańki, upusty krwi, kąpiele, naświetlanie.

Za twórców stosowania leczniczego, w znaczeniu niespecyficznym, soli metali, należy uważać duńskich autorów.

Szczególnie skutecznie działają sole manganu. Zauważono, że wpływ metali odpowiada ich położeniu w układzie periodycznym pierwiastków. Metale mogą nie tylko aktywować komórki, lecz też, i zarazki, ale do tego trzeba znacznie większych dawek. Wpływ poszczególnych metali wzrasta poważnie w miarę wzrostu ich ciężaru atomowego. Badacze duńscy podnoszą, że wogóle siła wpływu tej niespecyficznej terapii zależy od pewnej optymalnej koncentracji bodźca, — ale wysokie dawki wpływają jednak ujemnie paraliżując na komórki ustroju.

2) Terapia infekcyjna. Zauważono, że przy chronicznych infekcjach, gdy wstrzykuje się całkiem odrębny zarazek, następuje polepszenie ogólnego stanu chorego. Znane jest np. leczenie paraliżu postępowego zapomocą infekcji malarją lub dudem powrotnym.

3) Proteinoterapia: Używa się tu rozmaitych białek więc: 1) mleko; 2) preparaty białkowe z mleka; 3) białko roślinne; 4) białko bakteryjne; 5) preparaty mieszane.

Niespecyficzną terapię ma obecnie bardzo szerokie zastosowanie, gdyż wszędzie tam, gdzie chodzi o podniesienie ogólnej zdolności obronnej komórek ustroju, o zmobilizowanie rezerw — może ona znaleźć zastosowanie. Więc w sprawach ropnych, gnilnych, w schorzeniach skóry, w chorobach stawów, w chorobach ocznych, kobiecych, wenerycznych...

Sprawy chorobowe przewlekłe i zlokalizowane nadają się lepiej do tego leczenia niż procesy ostre lub ogólne. Ze znacznym oporem spotkała się propozycja jednego z autorów, stosowania proteinoterapii przy sprawach gruźliczych — bo organizm gruźliczy jest bardzo wrażliwy na zastrzyki białka: podniesienie temperatury już przy niezbyt znacznych ilościach białka... i inne niekorzystne objawy.

Są też obecnie preparaty, które mają działanie specyficznie - niespecyficznie tj. składają się z ciałek o znanym działaniu farmakologicznym i z białka — o działaniu niespecyficznym.

N. O.

Materiały do bibliografii historii Obrony Lwowa, zeszyt I.

Nową publikacją naukową, która już drukuje się i obejmuje około 100 stron druku, jest bibliografia opracowana przez członka Komisji Naukowej T.wa. dr. Józefa Skrzypka wydana jako „Materiały do bibliografii Obrony Lwowa” zeszyt I. a która zawierać będzie literaturę drukowaną, odnoszącą się do tego zagadnienia z lat 1918—1933 artykuły w czasopiśmie wogóle i prasie lwowskiej codziennej z lat 1918—1923. Bibliografia ta, owoc żmudnej pracy kilkunastu, ma swoje szczególne znaczenie, które doceni każdy, kto podejmował jakąkolwiek pracę naukową, pozostającą w związku z zagadnieniem obrony Lwowa.

Równocześnie z drukiej tej nowej publikacji naukowej o obronie Lwowa Komisja Naukowa Towarzystwa rozpoczęła już pracę nad gromadzeniem materiału do druku w III tomie „Obrony Lwowa” i apeluje do wszystkich uczestników walk o wypożyczenie wszelkich materiałów historycznych, pozostających w związku z Obroną Lwowa, w celu sporządzenia z nich kopij oraz o nadsyłanie relacji, opisów, akcyj bojowych i przeżyć — pod adresem biura Towarzystwa w Lwowie, pl. Bernardyński 6. II p.

EL.